

Czy organizacje humanitarne pomagają?

5 października 2016

Po czterech latach pracy w Afryce Wschodniej i Środkowej, gdzie byłem zaangażowany w siedmiu projektach humanitarnych na łączną wartość ponad 4 milionów dolarów, jestem chwilowo w Warszawie. Po Kenii, Somalii i Malawi zostały na razie wspomnienia, niektóre jedynie duchowe, a inne bardziej namacalne.

Zarządzając powierzonymi mi projektami pracowałem w sektorach: bezpieczeństwa żywnościowego, edukacji oraz opieki zdrowotnej. Jak wygląda taka praca? Jest kilka stałych punktów, które są bardzo istotne, żeby osiągnąć zamierzony cel.

Przede wszystkim trzeba umieć nawiązywać dobre relacje z ludźmi z zupełnie innych kultur i religii. Być dyspozycyjnym, nie bać się nowego i nieznanego, posiadać zdolność do przystosowywania się do trudnych warunków, często zagrażających życiu. Poza tym niezbędna jest wiedza polityczna, społeczna i finansowa jak również umiejętności dyplomatyczne i negocjacyjne w ekstremalnie stresujących sytuacjach.

W mojej pracy zajmowałem się badaniami wrażliwości somalijskich gospodarstw domowych na długotrwałą suszę. Miały one na celu ustalenie czynników decydujących o tym, które z gospodarstw potrafią przetrwać susze, a które nie i od czego to zależy.

Ponadto, pracowałem jako trener 'Zarządzania Cyklem Projektu' ucząc lokalne organizacje jak być bardziej wydajnymi i wiarygodnymi, aby móc lepiej wykonywać zadania w terenie. Przeprowadzone treningi miały zapewnić tamtejszym jednostkom pozarządowym większą efektywność i przejrzystość działań humanitarnych, a także nauczyć lepszego pozyskiwania

dodatkowych funduszy na wyznaczone cele.

Natomiast w Malawi, sterując grupą ponad 50 osób, brałem udział w organizowaniu dystrybucji tysięcy ton żywności w regionach dotkniętych powodzią. Nasze działania objęły teren, który zamieszkuje ponad pięć tysięcy rodzin.

W swojej ostatniej pracy koordynowałem realizację kilku projektów ONZ-u oraz Global Fund w sektorze opieki zdrowotnej. Zadaniem tych prac było doskonalenie umiejętności pielęgniarek, położnych i lekarzy, udostępnianie sprzętu szpitalnego i lekarstw, usprawnianie zarządzania przychodniami i szpitalami.

Niemniej ważnym celem było prowadzenie kampanii zachęcających kobiety do korzystania z badań prenatalnych, korzystania z porad ginekologów w trakcie ciąży tak, aby urodzić bezpiecznie w szpitalu, a nie w domu.

Te wszystkie zadania nie obyły się jednak bez problemów. W szpitalach budżet, który dawaliśmy na paliwo do karetki, ginął w kieszeni dyrektora, przez co większość czasu samochód stał unieruchomiony. Podczas dystrybucji pożywienia osoby starsze lub chore wynajmowały tragarzy, którzy nierzadko okazywali się nieuczciwi i uciekali z powierzonym im dobrem. W innych przypadkach wymuszali podział pożywienia grożąc pobiciem.

Zdarzały się też dużo smutniejsze problemy. Do jednego ze szpitali, w których pracowałem, dostarczyliśmy inkubatory. Zarząd szpitala, jak i lekarze zapewnili nas, że potrafią z nich korzystać. Po kilku dniach dowiedziałem się, że trójka dzieci zmarła ponieważ źle nastawiono temperaturę.

Natychmiast zorganizowaliśmy tygodniowy trening obsługi sprzętu.

Były też problemy, których nie udawało się rozwiązać – te natury kulturowej. Kobiety w Somalii, będąc de facto własnością mężczyzn, często nie mogły podejmować decyzji o

swoim ciele. Gdy ciąża zagrażała życiu matki lub dziecka nie mogliśmy, jak w Europie, przeprowadzać cesarskiego cięcia bez uprzedniego uzgodnienia tego z mężem, ojcem lub bratem pacjentki. Ci, w wielu przypadkach, odmawiali, aby lekarz tak bardzo ingerował w ciało kobiety.

Pozostawiali wszystko w „rękach Allaha”, przez co doprowadzali niejednokrotnie do śmierci kobiety i dzieci. Aby zmniejszyć niepotrzebną śmiertelność kobiet i dzieci prowadziliśmy kampanie informacyjne. Gdy sytuacja była krytyczna uciekaliśmy się do podstępu udając, że już wcześniej dostaliśmy zgodę na zabieg.

W naszym głównym szpitalu w Puntlandzie, w północno-wschodnim regionie Somalii, śmiertelność kobiet zmalała o 55% w przeciągu roku, a stosunek narodzin żywych do martwych noworodków polepszył się o blisko 30%.

Czy w związku z tymi problemami, tak odmienną kulturą, tak trudnymi warunkami i tak czasami dziurawym budżetem należy dalej pomagać?

To pytanie dzieli wiele ludzi. Jedni są na tak, drudzy na nie. Według mnie, nie można stosować takich samych kryteriów oceny wszystkich pomocy humanitarnych. Każdy projekt, każdy pomysł, organizacja go wdrażająca i kraj docelowy są inne i tworzą całkowicie inne tło dla działań.

Na przykład, jeżeli w grę wchodzi praca z wieloma partnerami rządowymi lub władzami lokalnymi, wiadomo, że korupcja będzie dużym problemem. Jeżeli projekt jest długoterminowy i ma za zadanie budowę czegoś, co później będzie musiało istnieć bez pomocy zewnętrznej, ryzyko jest większe.

Natomiast, jeśli robimy badania lub zbieramy informacje i zajmujemy się konkretną pomocą ludziom pokrzywdzonym lub umierającym, szansa powodzenia i efektywność jest większa.

Każda organizacja i agencja ONZ ma odmienne struktury

biurokratyczne, przez co rządzi się innymi prawami. Do tego trzeba dorzucić ogromną ilość pozarządowych organizacji autonomicznych.

Wszystko to wprowadza spore zamieszanie, które może podlegać zewnętrznej krytyce. Jednak moim zdaniem, potępienie działań tychże organizacji humanitarnych za ich nieproporcjonalnie małą wydajność w stosunku do zaangażowanych środków finansowych, jest „wylewaniem dziecka z kąpielą.”

To warunki geograficzne, kulturowe i zwyczajowe, nieprzewidywalne zjawiska przyrodnicze i polityczne są czynnikami decydującymi finalnie o osiągniętym efekcie. I nawet jeśli nie jest on spektakularny i stanowi niewielki procent realizacji początkowych zamierzeń, to warto podjąć ten trud. Bo jeśli wiesz, że konkretnie podjętymi działaniami ratujesz dzieci przed niedożywieniem i śmiercią (np. zrzucając jedzenie samolotami World Food Program na tereny objęte głodem), a dzięki dostarczaniu sprzętu medycznego i szkoleniu miejscowego personelu zmniejszasz śmiertelność noworodków i polepszasz warunki leczenia miejscowej ludności, jeśli widzisz na miejscu pozytywne efekty takiej pracy to wiesz, że ona ma sens.

Bez względu na koszt.

Oczywiście nie każdy projekt przynosi dobre skutki. Zdarzają się takie, które dają złe efekty. W projekcie International Organization for Migration, który miał na celu zmniejszenie liczby emigrantów z krajów zatoki Adeńskiej, mieliśmy uczyć bezrobotnych zawodu. Na koniec kursu, każdy kto go przeszedł pomyślnie, miał dostać pieniądze na otwarcie własnego biznesu, zgodnie z uprzednio napisanym biznes planem.

Niektórzy mieli otworzyć usługi elektryczne, inni sklepy z odzieżą, jeszcze inni punkty naprawy telefonów komórkowych. Jednak bardzo wiele z tych osób, czekało na pieniądze po to, by uciec za granicę, do Europy, płacąc otrzymanymi środkami

tak zwany „tariq” – haracz za przemyt przez granicę.

W większości przypadków, tacy ludzie są porzucani gdzieś na pustyni, a ich rodziny muszą dodatkowo płacić za informacje o ich lokalizacji, by móc uratować ich od pewnej śmierci.

Kwestia finansowania organizacji humanitarnych jest prosta. Kraje tworzą swoje wydziały do pomocy humanitarnej. Polska akurat takiego wydziału nie ma, ale Szwecja ma SIDA (Swedish International Development Cooperation Agency), Wielka Brytania ma DFID (Department for International Development), Francja ma AFD (Agence Francaise de Developpement), a u Włochów, bezpośrednio pod Ministerstwem Spraw Zagranicznych jest „Cooperazione Italiana” zajmująca się rozwojem krajów najbardziej potrzebujących.

Każda z tych agend finansuje organizacje humanitarne ze swojego kraju, a także finansuje te światowe akcje, które uważa za najbardziej pilne. Dodatkowo, każdy członek ONZ ma obowiązek dofinansowania budżetu generalnego, który w zeszłym roku wynosił 2,7 miliarda USD.

W 2015 Stany Zjednoczone wpłaciły do budżetu ONZ 654 miliony dolarów, czyli równowartość 22% wszystkich finansów, tym samym plasując się na pierwszej pozycji dawców. Na następnych miejscach znalazły się Japonia (293 miliony – 10,8%), Niemcy (193 miliony – 7,1%), Francja (151 milionów – 5,6%) i Wielka Brytania (140 milionów – 5,2%). Polska, w 2015 roku, przekazała do budżetu ONZ prawie 25 milionów dolarów i tym samym powiększyła zasoby finansowe organizacji o prawie 1%. W skali porównawczej jesteśmy na podobnym poziomie, co Szwecja – dużo mniejsza gospodarka, lecz znacznie od nas bogatsza.

Czy powinniśmy płacić z własnych budżetów na kraje nie radzące sobie z ubóstwem? Czy taka solidarność jest słuszna? Jak pomagać? Ile dawać? Gdzie i komu wysyłać wsparcie?

Zachęcam do szukania lektur i informacji o światowych działaniach w sektorze humanitarnym; o sukcesach, ale i o

porażkach.

Żeby ułatwić odpowiedź na te pytania podam przykład: Polski program 500+, w roku 2016, kosztuje 17,2 miliarda złotych, czyli około 452 milionów dolarów, co jest równowartością pomocy dla 6 najbiedniejszych krajów Afryki: Swazi (116 m), Botswany (108 m), Gabonu (90 m), Komorów (82 m), Wysp Świętego Tomasza i Książęca Sao Tome and Principe (52 m) i Gwinei Równikowej (5,7 m).

Natomiast amerykański lotniskowiec Gerald R. Ford kosztował ponad 10 miliardów dolarów, czyli ponad trzy razy tyle, ile roczny budżet ONZ na wszystkie kraje świata.

Autorstwo: Mikołaj Radlicki

Źródło: MediumPubliczne.pl